

Autoryzowany wywiad z

p. Janiną Tomczak z domu Adamowicz

Wywiad został przeprowadzony w dniu 21.01.2010 r. w Sopocie

Przeprowadzony przez:

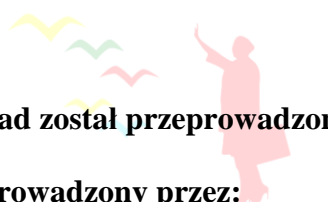
Aleksandrę Szczęch i Małgorzatę Siepię

Fotografia:

Aleksandra Liszewska

Opiekun grupy:

Małgorzata Polczyk – Stowarzyszenie SET



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

Pani Janina Tomczak rocznik 1926. Rodowita Wilnianka. Aktywnie działa w zarządzie Towarzystwa Miłośników Wilna od trzech kadencji sprawuje funkcję rewidenta w komisji rewizyjnej.

-Była Pani mieszkanką Wilna, gdzie Pani mieszkała?

-Urodziłam się w 1926 roku i pierwsze lata swego życia, do końca szkoły podstawowej mieszkałam na Zwierzyńcu – to dzielnica Wilna, położona w zakolu rzeki Wilii. Mieszkaliśmy w pięknym drewnianym domu, który zewsząd okolony był werandami, a przed domem rozciągały się pasma bujnej zieleni, zajmowaliśmy w nim 5 pokoi - jedną połowę domu, drugą zajmowała inna rodzina. Później przenieśliśmy się do samego centrum śródmieścia, mieszkaliśmy na ulicy Uniwersyteckiej, w domu przylegającym do Uniwersytetu Batorego.

Zaczęłam chodzić do Gimnazjum żeńskiego im. Elizy Orzeszkowej. W czasie okupacji nasi nauczyciele prowadzili tajne nauczanie w swoich domach. Przychodziłyśmy do nich w małych 6-8 osobowych grupach.

-Czym zajmowali się Pani rodzice?

Mój ojciec Aleksander Adamowicz zajmował się malowaniem szyldów reklamowych, afiszy, robił wystrój wystaw sklepowych. Był dekoratorem i pejzażystą. Mama - Julia zajmowała się mną i licznym moim rodzeństwem. Byłam najmłodszym dzieckiem w mojej rodzinie. Ojciec i wujowie byli „piłsudczykami”, brali udział w powstaniach, byli więzieni.

-W jakich okolicznościach podjęła Pani decyzję o opuszczeniu Wilna?

-Podjęłam tę decyzję samodzielnie i na własną rękę. Mój ojciec nie chciał słyszeć o tym, by opuścić Wilno. Wierzył, że decyzja Roosevelta, Churchilla i Stalina o przeniesieniu granic polskich jest tylko chwilowym aktem politycznym, który z pewnością zostanie odwołany. Wierzył, że będzie miał pracę, utrzyma mieszkanie i poradzi sobie w Wilnie, a dzięki temu jego bracia i synowie będą mieli gdzie powrócić. Bo musicie wiedzieć, że wracający z wojny moi bracia i wujowie jako obywatele polscy nie mogli już dostać się do Wilna, bo znajdował się on w administracyjnych granicach Związku Radzieckiego, zostali więc po drugiej stronie granicy.

Miałam wówczas 19 lat nie widziałam perspektyw na dalszy swój rozwój, na dalsze życie w tym mieście. Chciałam się kształcić w języku ojczystym, chciałam zdobyć zawód. Wbrew woli mego ojca postanowiłam wyruszyć w drogę w ślad za repatriantami, którzy opuścili Wileńszczyznę do 1946 roku. PUR- Polski Urząd Repatriacyjny w 1947 roku nie został jeszcze rozwiązany. Organizowano ostatni transport Polaków – więźniów z gułagów, których zamierzano przetransportować na zachód. Znajoma mojej mamy załatwiła dla mnie kartę repatrianta.



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

- Kiedy Pani wyjechała i jaką drogę Pani przebyła?

Z Wilna wyjechałam w kwietniu 1947 roku. Rodzice spakowali moją walizkę. Wzięłam zaledwie kilka rzeczy osobistych, pościel i parę garnków, niewiele tego było, bo też nie specjalnie wolno było wziąć dużo bagażu. Nikt nie przewoził mebli, co najwyżej skrzynie, kufer, tobołek lub walizkę. Mama nie chciała zostawić mnie bez środków do życia, więc ukryła w dzbanku ze smalcem kilka cennych monet tak zwanych „świnek”- złote monety 1 i 5 rublowe- miało to być dla mnie zabezpieczenie jak to mówią „na wszelki wypadek”. Jedną z nich ukryłam w szmatce i wsunęłam do buta. Z tych rzeczy do dzisiaj już nic się nie zachowało, nie mam żadnych pamiątek. Rodzice odprowadzili mnie na dworzec. Na peronie stały bydłce wagony. Upychano w nich ostatni transport repatriantów. Więźniowie gułagów byli w straszliwym stanie: szara cera, kości obciążnięte skórą, ubrani w drelichy. Nie pozwolono im nic zabrać. Jechali tak, jak ich wypuszczono z więzień.

Od kiedy pociąg ruszył nie mogłam się uspokoić płakałam i płakałam. Podróż trwała dwa tygodnie. Zaopiekowali się mną współpasażerowie. Łączyła nas więź i prawdziwa solidarność. W wagonach utrzymywaliśmy czystość, ustaliliśmy dyżury przy przygotowywaniu posiłków.

Podróż przerywano wiele razy, by przeszukać nasze wagony. Wszyscy musieliśmy wtedy wychodzić w szczerze pole, w tym czasie przetrząsano nasze bagaże i szpikulcami przekuwano luki wagonu. Obawiano się, że w wagonach przemycamy nie zakwalifikowanych do repatriacji uchodźców. Pewnego razu wyskakując z wagonu zgubiłam moją „świnke” wciśniętą do buta. Nie poczułam kiedy się wysunęła. Strasznie się zdenerwowałam. Kiedy wróciliśmy do wagonu, jedna z Pań zaczęła bardzo szlochać. Przez łzy wykrztusiła, że zginęła jej ściereczka, którą ścieraliśmy skrzynię na której robiliśmy posiłki. Początkowo jej rozpacz z tak błahego powodu wydała się nam bardzo dziwna, lecz pani zdradziła nam, że miała w niej zaszyty brylant- jedyny cenny przedmiot jaki posiadała. Wtedy i ja przyznałam się, że zgubiłam swoją monetę. Wszyscy jak jeden mąż rzucili się na poszukiwanie utraconych rzeczy. Szczęśliwie zguby odnalazły się, nikt nawet nie pomyślał, żeby sobie coś przywłaszczyć.

-Do jakiego miejsca dojechała Pani transportem kolejowym z Wilna?

-Jechaliśmy przez dawne Prusy Wschodnie do Olsztyna. Tam znajdował się punkt rozdzielczy. Dostałam bezpłatny bilet miesięczny, mogłam poruszać się kolejami po całym kraju, by odnaleźć krewnych. Udałam się do Gdańska, bo tam zamieszkał brat mojego ojca.

- Jak potoczyły się Pani losy w Gdańsku? I jak to się stało, że zamieszkała Pani w rezultacie w Sopocie?

- Gdańsk był bardzo zniszczony, trudno było poruszać się po tym mieście, nie było ulic, tylko bezładne kopce cegieł, resztki konstrukcji budynków. Może znacie to z rycin, czy dawnych zdjęć? Przepiękne Wilno z barokowymi zabytkami uroczymi zakątkami zamieniłam na stertę gruzu... Do Gdańska zjechało wówczas wielu repatriantów z Wileńszczyzny. Aktywnie uczestniczyli w dziele odbudowy miasta, podnosili Gdańsk z gruzów, tworzyli ośrodki kultury i nauki. Zamieszkałam z liczną rodziną mojego stryja. Ukończyłam liceum, maturę zrobiłam w 1948 roku. Później ukończyłam dwuletnie Studium Administracyjno-Handlowe jednocześnie pracując w Urzędzie



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

Wojewódzkim w Wydziale Handlowym. Tam poznałam kobietę, która zajmowała dwupokojowe mieszkanie w Sopocie. Wiedząc, że mieszkam w dużej ciasnocie ze stryjem i jego rodziną zaproponowała mi, żebym się do niej wprowadziła.

Tak więc los przywiódł mnie do Sopotu. Zmieniłam pracę. Zaczęłam pracować w przedsiębiorstwie budowniczym w Gdyni. Związałam się z Jerzym Tomczakiem, byłym Akowcem pochodzącym z Radomska, założyliśmy rodzinę (w tej chwili mój mąż już nie żyje został pochowany na cmentarzu sopockim w kwaterze dla AK). Otrzymaliśmy przydział na mieszkanie najpierw na ulicy Bieruta 33 (obecnie Haffnera), a później tu na Bema 3. Oczywiście nie były to mieszkania na wyłączność, trzeba się było dzielić powierzchnią mieszkalną z innymi, zazwyczaj przypadkowo dobraćanymi lokatorami. Każdy pokój to inna rodzina, wspólna łazienka, korytarz... Tu na Bema mieliśmy tę dogodność, że łazienka była naszą wyłączną własnością ☺

-Czy Pani rodzice pozostali w Wilnie na stałe?

-Utrzymywaliśmy z rodzicami kontakt, na szczęście można było wysyłać listy i tą drogą porozumiewać się z bliskimi. Niestety okazało się, że próżne były nadzieje ojca na powrót ziem wileńskich do Polski, a jego sytuacja pogarszała się z roku na rok. Nie otrzymywał wielu zleceń na swoje usługi. Matka powoli wyprzedawała majątek rodzinny, żeby przetrwać, żeby móc kupować podstawowe produkty takie jak jedzenie, opał... Przyszedł czas, gdy mocno podupadła na zdrowiu, a i ojciec nie był w najlepszej kondycji. Długo staraliśmy się, uzyskać zgodę na przesiedlenie rodziców. Trzeba było zgromadzić liczne dowody na ich polskie pochodzenia, zeznania świadków itp. Udało się nam tego dokonać dopiero w 1952 roku.

-Czy myślała Pani, żeby odwiedzić Wilno, wrócić choć na chwilę do miejsca z którego Pani pochodzi?

-O tak, nie tylko o tym myślałam. Byłam w Wilnie już parę razy. Pierwszy raz na przełomie lat 50/60. Strasznie tęskniłam, więc mój mąż namówił mnie, żebym wykupiła wycieczkę. Pamiętam pierwsze wrażenie. Wilno pozostało w mojej pamięci miastem okazałym, tymczasem po przyjeździe wydało mi się jakieś malutkie. Odwiedziłam swoje mieszkanie na Zwierzyńcu. Mieszkała tam wtedy jakaś Rosjanka. „Czto wy zdjes dziełajecie żeńszczina?”- zagadnęła. „Ja zdjes tu żyła, eto była moja kwartira”- odpowiedziałam.

Kobieta zaprosiła mnie do środka, lecz z dawnego wyposażenia domu już nic nie pozostało. Piec, który pamiętam z dawnych czasów został rozebrany, a przepiękna weranda lekko podupadła.

Ostatnim razem do Wilna wybrałam się z Wilniukami z Towarzystwa, ale ta wyprawa organizowana przez „Orbis” pozostawiła tylko niesmak. Mieliśmy duże kłopoty organizacyjne, zapewne z winy Litwinów, którzy nasze, zamówione wcześniej miejsca noclegowe w hotelu w centrum Wilna oddali wycieczce niemieckiej, a nas Wilniuków zakwaterowano w prywatnych domach na obrzeżu miasta. Ja co prawda nie trafiłam najgorzej, (byli jednak tacy, którzy musieli borykać się z brakiem wody bieżącej, toaletami w podwórku), ale nie udało mi się odwiedzić tych miejsc, które chciałam zobaczyć.

-Dziękujemy, że poświęciła nam Pani swój czas i podzieliła się z nami swoją historią.



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW